№ 50. 11. Grudnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z wystawy obrazów.

Przez cały szereg lat imię Matejki było ową iskrą elektryczną, która od czasu do czasu wstrząsała społeczeństwem polskiem, niezbyt — jak wiadomo — interesującem się sztuką.

»Matejko zaczął pracować nad nowym obrazem«; »Matejko ukończył nowe płótno«; »Nowe dzieło Matejki wystawiono właśnie«... etc.

Wszystkie takie wiadomostki chwytane były z wyjątkową u nas skwapliwością; każdy obraz Matejki, opis tego obrazu, cóż dopiero sam widok nowego dzieła niezwykłe budził wśród publiczności zajęcie.

Z chwilą, gdy genjalny Mistrz krakowski »wielki, natchniony, samotny« spoczął na wieki »po bożym tym znoju« — zainteresowanie się jego imieniem, życiem, jego dziełami tem bardziej wzrosło.

Ztąd też publiczność nasza posłyszawszy, iż na wystawie lwowskiej ukazał się nieznany obraz twórcy »Kazania Skargi«, spieszyła tam tłumnie, zaciekawiona dziełem zmarłego geniusza. Ci jednak, którzy wielkość Matejki mierzą wielkością płótna, nie zaś wielkiemi zaletami rysunku i charakterystyki — doznali pewnego rozczarowania. »Zygmunt Stary, przysłuchujący się dzwonieniu« w sławny dzwon na wieży katedralnej w Krakowie, jest obrazem małych rozmiarów, co więcej: nie ma pretensji do dzieła skończonego; jest to poprostu pełen siły i charakterystyki szkic, który jako rzecz pędzla Matejki ma tem cenniejszą wartość pamiątkową, ale dla publiczności... za mało przedstawia interesu. Malowany przed dziesięciu jeszcze laty, stracił wiele na sile barw, zciemniał tak, iż trzeba się dobrze wpatrzyć w obraz, aby niektóre szczegóły rozeznać. Na pierwszym planie widzimy króla Zygmunta w pysznej szubie purpurowej, opartego o balustradę, okrytą bogatym kobiercem. Z lewej strony monarchy wsparł się, zasłuchany w muzykę dzwonu — zdaje się — Stańczyk; za nim postać jakiegoś dworzanina, po prawej stronie dwie inne figurki, a w głębi ledwo znaczne postacie, ciągnące rozkołysany dzwon za sznury.

Oto treść obrazu, który jak wszystko, co wyszło z pod pędzla Matejki, ma właściwe sobie lwie piętno w charakterystyce i oryginalność w zaaranżowaniu całości. Jako pamiątka po zmarłym geniuszu szkic ten zawsze cennym pozostanie.

Skoro już mowa o dziełach zmarłych artystów, wspomnieć należy o czterech widokach morskich znakomitej, a przedwcześnie dla sztuki straconej, Anny Bilińskiej. Nie mają one również pretensji do rzeczy skończonej, są to wrażenia czy szkice z podróży, ale wrażenia bardzo dobrze zanotowane z natury. Zwłaszcza szkic, przedstawiający widok morza w czasie deszczu, ma wiele zalet. Czuć tam rzeczywiście deszcz, wilgoć, mgłę.

Dawno niewidziany na Wystawie lwowskiej p. Tadeusz Popiel nadesłał pejzaż, odtwarzający drogie nam, krwią bohaterską zroszone pola racławickie. Jest to zapewne jakiś fragment ze studjów do przyszłorocznej »Panoramy«. Widzimy tu okolicę Racławic o wczesnej wiośnie, widzimy obok drogi pola świeżo zorane, ciągnące się w dal siną, z błękitną w głębi sylwetą Karpat, na których czole bieleje śnieżny czepiec. Dobry to pejzaż, jest w nim coś więcej niż zwykły szablon, jest pewna cecha prawdy i szczerości w obserwowaniu natury wiosennej.

Jak krajobraz coraz więcej jedna dziś sobie zwolenników w świecie artystycznym, przekonać się można z faktu, że oto i p. Batowski i p. Augustynowicz obdarzyli nas pracami tego rodzaju — o ile pomnę — po raz pierwszy P. Batowski, który swego czasu dał się chlubnie poznać cennym obrazem »Malarz ikonów«, nadesłał pejzaż, przedstawiający jakiś romantyczny zakątek, wśród którego na tle bujnej zieleni, rysuje się w blaskach słońca stara opuszczona brama klasztorna, nader wdzięczna, jako motyw; p. Augustynowicz zaś, znany z wielu portretów, wystawił efektowny pejzaż p. t. »O zachodzie słońca«. Na pierwszym planie przeźroczysta szyba stawu, nad stawem w głębi drzewa, gęste leszczyny, w dali szmat ziemi, którą już mrok wieczorny otula. Dużo tu prawdy, uroku, ciszy.

Wieś, życie na wsi, lud wiejski tak malowniczy, jego zwyczaje, wierzenia, obrzędy są niewyczerpaną kopalnią dla artystów polskich blisko już od ćwierć wieku. Jedni lud ten idealizują, przedstawiając niejako ze świątecznej strony, inni biorą szczerze, bez poprawek — malują sceny i typy takie, jakie się im w danej chwili pod pędzel nawiną. „Niedziela na wsi“, obraz p. Łasińskiego należy właśnie do drugiego z tych rodzajów odtwarzania ludu. Mamy grono wyrostków i dzieciaków wiejskich, wprowadzonych do obrazu bez wyboru, wcale niepięknych, owszem nawet mocno brzydkich, namalowanych z całą szczerością i prawdą. Nie ładne to typy, ale kapitalne jako wyraz. W dziewczynie czytającej książkę, znać zajęcie się jej treścią — czyta prawdziwie, z uwagą, nie zaś pozuje. Zaglądający ku książce chłopak brzydki jest, głupkowaty, ale żyje siłą wyrazu. Inne twarze również dobre, choć prawie wszystkie — nieładne. Jako obraz realistyczny, „Niedziela na wsi“ mimo pewnych usterek, jest wyrazem wielkiego talentu.

Inną cechę ma obraz p. Antoniego Jezierskiego „Wieńczenie panny młodej“. Tu czuć już pewną dążność do uszlachetnienia typów, a w każdym razie znać, że artysta nie posługiwał się pierwszym lepszym modelem, jaki mu się przed oczy nasunął. Pod względem artystycznym jest to praca mająca wiele zalet, oparta na sumiennych studjach, wykończona bardzo pracowicie, nawet... przepracowana, zbyt drobiazgowa, i to jest właśnie jej wadą.

Rzecz dzieje sią na Rusi. Jesteśmy w chacie zamożnego gospodarza. Drużki uwiły już wianek ze złoconego barwinku. Panna młoda („kniahini“) siadła według ceremonjału ludowego, na konewce, nakrytej kożuchem, a jej ojciec stanął poza nią i głowę jej o rozplecionych włosach, stroi wiankiem. Za panną młodą widzimy starościnę (swachę), która trzyma kaftan przygotowany do ubrania „kniahini“, aby zaraz mogła pójść z drużkami do dworu, czy do sąsiadów, z prośbą o błogosławieństwo. Pana młodego ani drużbów nie ma w chacie; oni, według zwyczaju ludu ruskiego, bawią się w tej chwili osobno. Przez otwarte okno widać pejzaż zalany światłem słonecznem, które tu i ówdzie wpada smugą do chaty.

Powtarzam: rzecz pod każdym względem sumienna, oparta na studjach, pełna drobiazgowej finezji w szczegółach. Na szerszem traktowaniu przedmiotu obraz ogromnie by zyskał.

A teraz z Rusi przenieśmy się dzięki p. Ryszkiewiczowi na t. zw. „Zjazd“ w Warszawie, którym zwą tam część miasta, prowadzącą z Zamku królewskiego na olbrzymi most żelazny, łączący stolicę z pamiętną w dziejach męczeństwa naszego Pragą. Na pierwszym planie widzimy charakterystyczną postać czerkiesa na koniu, w burce na ramionach, w białym baszłyku na głowie, jedną z tych figur, które tak często spotyka się w Warszawie, gdy z zamku pędzą z rozkazami generał-gubernatora. Obok czerkiesa dwa charty; z prawej strony obrazu dorożka z jakimś kulawym koniem, w głębi tramwaj; kilka osób, wreszcie sylwety niektórych gmachów warszawskich: kościoła Bernardynów etc.

Słowem mamy tu zwykły, pospolity motyw z bruku, wzięty z całą przypadkowością układu, przedstawiony w dzień słotny, mglisty, w godzinę zmierzchu. Cały obraz jest szary, zaledwie niektóre szczegóły i postacie wyrywają się z tego mglistego morza. Smutno, posępnie, jak dziś w Warszawie . . .

O innych nowościach, znajdujących się obecnie na Wystawie wspomnę drugim razem; wymieniam jeszcze bardzo ładne studjum p. Pająkówny (dziewczyna wiejska z okolic Krakowa) oraz akwarelki p. Szernera „Hucułka jadąca na targ“ i „Drużba weselny“ zręczne to rzeczy, malownicze, ale powierzchowne trochę.

J. Z.

O. LUDWIK COLOMA.

POKÓJ UMARŁYM.

(PODANIE.)

Tłómaczenie z hiszpań. przez H. J.

I.

Ponury jak zła myśl, silny jak atleta, wznosił się nad brzegiem morza zamek Valdecoz. Wykuty w skale, z olbrzymią bramą, z wałami, których niedostępność wzmacniał jeszcze most zwodzony, sterczał ku niebu wysoką wieżą, na której wielka płaskorzeźba przedstawiała herb rodu: orła, trzymającego w szponach złamaną tarczę. Zdawało się, iż ten olbrzym granitowy spogląda dokoła dumnie, mówiąc morzu: „Gardzę tobą“, skałom: „Panuję nad wami“, a niebu: „Dosięgam cię“.

Nikt w nim nie mieszkał; zamknięty jak grób, tchnął ponurem milczeniem śmierci; nawet ów orzeł kamienny, wyglądał, jak gdyby lada chwilę rozwinąć miał swe skrzydła z granitu i odlecić ztąd daleko, wołając: o! com ja widział!

Chwasty, wierni przyjaciele ruin, bujały w szczelinach murów, a na marmurowej płycie, tuż nad bramą wjazdową umieszczonej, wyczytać było jeszcze można z trudnością na wpół zatarty napis: „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat“.

Czytając te słowa, pozostałe jako jedyna historja, jedyny duch tej pustki, mimowoli rodziła się myśl, iż gniew Boży zstąpił, aby zmódz próżność ludzką, panującą na zamku Valdecoz. Jego ostatni władca, zwany „złym“, zginął bez wieści,

polując w lesie na granicy swych posiadłości; a na trzy miesiące przedtem jedyny syn jego, Ferrant zniknął także i nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Czas, wielki odkrywca tajemnic, przechował wszelako podanie o zamku Valdecoz, podanie to, z rodziców na dzieci przechodząc, doszło aż do nas, przysypane prochem stuleci i niejedną łzą zroszone.

Wiemy aż nadto dobrze, iż podania takie, zawsze pełne prostoty i poezji, a przytem głęboko religijne, nie znajdują dziś echa, jakiego są warte. Lekceważenie jest najwybitniejszą cechą naszego wieku, który za podstawę wziąwszy sobie sceptycyzm, mniema, że dosięgnie po nim najszczytniejszych wyżyn umysłowości, kręcąc się w ciasnem kole tych tylko pojęć, których się dotknąć i które zrozumieć może.

Nie zniechęca nas to jednak od zbierania i opowiadania tych legend. Niech im przeczy ten, kto w nie nie wierzy, ale niech przeto nie ma się za wyższego od tych, którzy je szanują. Łatwiej głupiec może czemuś zaprzeczyć, niżeli uczony czegoś dowieść; a uśmiech niedowierzania jest dziś zbyt pospolitym, aby mógł dotknąć człowieka serca i rozumu.

II.

Pewnego październikowego poranku wrócił kasztelan zamku Valdecoz na czele swoich zbrojnych ludzi, z wycieczki na terytorjum swego sąsiada, z którym zdawna krwawe wiódł zatargi. Tym razem zwycięstwo było po stronie pana zamku Valdecoz, a jako najcenniejsze trofea wyprawy, przywlókł on za sobą okutego w kajdany przeciwnika i rozkazał powiesić go na wieży, pod pnącym się po niej herbowym orłem Valdecoz'ów.

Napróżno litościwy Ferrant wstawiał się do ojca za więźniem, który oczekiwał spełnienia wyroku z pogodą duszy, będącą szczytem heroizmu. Najpierw przypomniał mu, że prawdziwe męztwo uwieńcza się wspaniałomyślnością względem zwyciężonych, tak jak koroną prawdziwą zasługi jest skromność. — Nic to nie pomogło. Dla zwycięzców tego pokroju, co kasztelan de Valdecoz, istnieje tylko jedno hasło: *vae victis!* Spełniono wyrok okrutny i trup nieszczęśliwego zawisł pod kamiennym orłem i miał tam pozostać, dopóki go sępy nie rozszarpią.

Ferrant zamknął się w swojej komnacie, zdjęty zgrozą; jednocześnie z przekleństwy ojca szły do nieba modlitwy syna. O północy szlachetny młodzieniec wymknął się po cichu z sypialni, poszedł na wieżę i wziąwszy trupa na barki, pogrzebał go u stóp skały, tam, gdzie fale morskie nie mogły go dosięgnąć i unieść.

Niepodobna opisać wściekłości kasztelana, gdy spostrzegł nazajutrz zniknięcie zwłok swojej ofiary. Wszyscy domownicy zadrżeli o życie dobrego Ferranta, gdy ten ze spokojem, jaki daje czyste sumienie, stanął przed ojcem, przyznając się do spełnienia czynów, który ten ostatni uważał za przestępstwo. W pierwszej chwili zdumienie wzięło górę nad gniewem srogiego władyki.

— Nieszczęsny! — wykrzyknął — z jakiego powodu postąpiłeś wbrew moim rozkazom?

— Chciałem dać pokój umarłym, podczas gdy ty ojcze zadajesz śmierć żywym — odrzekł Ferrant z uszanowaniem, ale ze stanowczością głębokiego przekonania o świętości swego obowiązku.

— Pokój umarłym — wybełkotał kasztelan, pieniąc się. — Co to za bzdurstwa jakieś? Prędko ci je z głowy wybiję! Idź natychmiast i odkop trupa tego zdrajcy i powieś go tam, zkąd zdjąłeś.

Ferrant odmówił stanowczo wykonania tego rozkazu; wiedział bowiem, że władza ojcowska ma swoje granice, kończące się tam, gdzie się kończy to, co dobre i sprawiedliwe. Żadne pogróżki kasztelana zastraszyć go nie mogły.

Wówczas ten ojciec okrutny, w którego sercu występek zagłuszył nawet głos naturalnych uczuć, wygnał go z zamku i biedny młodzieniec opuścił dziedzictwo swych przodków sam, unosząc na piersiach, jako jedyny skarb, kwiatek uszczknięty na grobie matki.

Ale napróżno usiłował kasztelan ogłuszyć się wojną i polowaniem po wypędzeniu syna. Opanowała go czarna melancholja i żarła mu duszę tym strasznym bólem, jakim jest niemożliwość naprawienia złego, cofnięcia spełnionej zbrodni. Pewnego dnia, smutniejszy i bardziej milczący niż kiedykolwiek, wyszedł na polowanie do gęstego lasu, stanowiącego granicę jego posiadłości i napróżno szukali go jego ludzie — kasztelan nie powrócił więcej.

Wkrótce potem zaczęto mówić w okolicy, iż podczas nocnej ciszy wychodził z tego lasu głos niewypowiedzianie smutny, który powtarzał: Spokój umarłym, spokój umarłym!

Lata płynęły, te lata, których szybkość zdumiewa nas, gdy już minęły, ale które wydają się olbrzymim łańcuchem, gubiącym swe ostatnie ogniwo w wieczności, gdy się je przed sobą widzi, dzieci stały się ludźmi, ludzie starcami, a starcy obrócili się w proch.

Na zamku Valdecoz nie rozlegały się już pieśni ucztujących wojowników, dzwon na wieży nie oznajmiał świtu, południa i zmierzchu, samotny, milczący, porosły chwastami, chylił się ku upadkowi, nie mogąc przecież rozsypać się w gruzy, a zdając się pragnąć tego, tak jak żyd wieczny tułacz pragnie śmierci. Tylko w nocy z pobliskiego lasu wychodził i odbijał się o jego mury żałosnem echem ów głos smutny, skargą wezbrany, powtarzający:

— Spokój umarłym, spokój umarłym!

Ferrant, zwany Dobrym, powrócił wreszcie. Dwadzieścia lat trwała jego nieobecność, a przez ten czas walczył jak prosty żołnierz przeciw arabom. Gdy przechodził nocą przez las, usłyszał ów głos tajemniczy, żałośniejszy niż kiedykolwiek i zdjęła go trwoga wielka, jaka nas ogarnia zwykle wobec nadprzyrodzonych zjawisk. Polecił się jednak opiece Najświętszej Panny i skierował się w stronę, zkąd dochodziło wołanie.

W głębi lasu otwierała się wielka, naga, skalista przestrzeń, której pusta, szara powierzchnia stanowiła sprzeczność z zielenią drzew, otaczających ją brzegiem, co tak wyglądało, jakby te drzewa lękały się owo zaklęte koło przestąpić.

Księżyc świecił w pełni, przy jego blasku Ferrant ujrzał leżącego na środku polany na wpół zgniłego trupa, którego oczy były otwarte, jak gdyby śmierć wyglądała przez nie i domagała się czegoś od życia. Ferrant zbliżył się, zdjęty religijną trwogą, i wydał straszliwy okrzyk, poznając w tych rozkładających się zwłokach swego ojca.

Gdy pierwsze uniesienie bólu i zdumienia minęło, Ferrant chciał szablą wykopać grób dla ojca, ale ziemia twarda, jak niegdyś serce kasztelana, sucha, jak jego oczy, opierała się, nie chcąc użyczyć ostatniego przytułku ciału srogiego pana. Ferrant poznał w tem rękę Najwyższej sprawiedliwości, karzącą bezbożnika.

Wtedy to, chyląc kornie czoło, dobry ten syn, całą swą duszę przelał w gorącą modlitwę, a obfite łzy popłynęły strumieniem z jego oczu, zwilżając skalistą opokę.

I oto ujrzał, że twarde łono ziemi otwiera się zwolna samo przez się, a w głębi jego ukazuje się gotowy już grób. Wziął więc na ręce cuchnącego trupa i złożył go w tę cudowną mogiłę.

Od tego czasu mieszkańcy okolic zamku Valdecoz nie usłyszeli już nigdy owego żałosnego głosu, wołającego w ciszy nocnej:

— Pokój umarłym! Pokój umarłym!

„ARBOR-DAY“.

Obfitość zieloności w miastach amerykańskich jest uderzającą, rozumie się z wyjątkiem kilku »wrzodów«, jak mówi Amerykanin: Chicaga, New-York'u, Pittsburga. Domki stoją zdala od siebie wśród kobierca murawy i wieńca drzew. Miasto niekiedy czyni wrażenie zabudowanego parku. Wogóle, w naszej części świata za wiele mówią o prozie obywatela zamorskiej rzeczypospolitej. Że umie on robić różne geszefta i w większości wypadków odznacza się sporą dozą praktyczności, to prawda, lecz po za sferą »business'u« miewa on i inne potrzeby. Do tych należy nieznana w takim stopniu w Europie miłość ku przyrodzie. Najwymowniejszem może świadectwem w tej mierze jest szczególna uroczystość, która począwszy się w jednym zakątku Stanów Zjednoczonych, rozpowszechniła się w ciągu lat kilku wszerz i wzdłuż całego kraju i stała się dzisiaj świętem ogólno-narodowem. Mamy na myśli »Arbor-day, dzień sadzenia drzewek w miejscach publicznych. Zwłaszcza w Stanach, które rozsiadły się w granicach dawnych prerji, święto to doznało szalonego powodzenia. Rok rocznie powierzchnia Związku północno-amerykańskiego pokrywa się kilku miljonami drzewek, które kiedyś w przyszłości, gdy wyrosną, a nadto pozyskają nowych towarzyszów, uczynią z Ameryki jeden z najpiękniejszych krajów. Jak wszędzie w życiu zamorskiem, tak i w tym zakresie panuje najzupełniejsza autonomja Stanów, a zatem i wybór dnia na uroczystość drzewną, zależy od woli pojedyńczego państewka. Ale wszędzie przyroda nałożyła swoje prawa: »Arbor-day« przypada na wczesną wiosnę. Nadto, pojedyncze Stany dążą do tego, aby owa uroczystość była święcona możliwie w tym samym dniu, naturalnie o ile na to zezwalają względy klimatyczne. Jakiś piątek kwietniowy jest zwykle wybierany na publiczne sadzenie drzewek. Sama czynność równie jest regulowana przez władze — w pewnym zakresie. Nie wolno np. drzewek sadzać tak blisko, aby cień ich zanadto przeszkadzał wyparowaniu wody deszczowej, jaką przesiąkła droga, wzdłuż której posadzono drzewa. Odległość drzewka od budynków równie winna być dostatecznie wielką, aby zapobiedz wilgoci i t. d. Po za tem, pobudce osobistej obywateli pozostawiono wszystko.

Wynalazczość yankes'ów nie poprzestała na powołaniu do życia uroczystości zadrzewiania, ale poszła jeszcze dalej i świętu nadała zupełnie nowy charakter, czyniąc go obchodem szkolnym. Ta strona uroczystości nietylko odsłania ciekawą kartkę ze zwyczajów amerykańskich, lecz nadto pozwala nieco przyjrzeć się amerykańskiemu szkolnictwu oraz pedagogicznemu duchowi, jaki w niem panuje. »Arbor-day« w szkole ma do spełnienia mnóstwo zadań. Naprzód ma rozwijać w młodych obywatelach obojga płci zamiłowanie przyrody oraz uczyć krzątania się około hodowli drzew i kwiatów. Dalej święto drzewne winno przyczynić się do rozszerzenia wiadomości o świecie roślinnym i jednocześnie do zapoznania dziatwy z konstytucją kraju rodzinnego. Celów jest przeto bardzo wiele. A środki, za których pomocą władze szkolne działają, są nawskróś amerykańskie. Główny przedstawiciel urzędu szkolnego w danym Stanie zwraca się do dziatwy z orędziem publicznem i przemawia jak do dorosłych obywateli, nawołując do wzięcia

udziału w uroczystości. Mamy pod ręką jedno z podobnych przemówień, wystosowane wprawdzie nie tylko do dzieciaków, ale do nauczycieli:

„Obywatele wisconsinscy — czytamy w niem, co wiosnę i co drugą jesień idą do urn wyborczych. Dla czego nie mieliby tego samego czynić malcy i dziewczęta, siedzący na ławach szkolnych? Jeżeli dorośli mężczyzni dokonywają wyboru gubernatora Stanu, czemuż dziatwa nie miałaby wybierać drzew?“ Ten ustęp, którym superintendent zarządu szkolnego w Stanie Wisconsin, otwiera swój urzędowy cyrkularz do nauczycieli, odrazu nas wprowadza w zgiełk życia szkolnego w przededniu uroczystości drzewnej. Dziatwa, bez względu na płeć i wiek, zostaje w szkółce zorganizowaną na wzór amerykańskiego ciała prawodawczego. Rozpoczynają się w tym szkolnym kongresie ożywione debaty, które ciągną się przez miesiąc. Idzie o to, jakie drzewka posadzi dana szkoła. Tworzą się partje: jedna chce sadzić wiąz, inna agituje na korzyść buków, jeszcze inna usiłuje przeprowadzić grab lub dąb. Toczą się dyskusje, bo każdy obóz chce przekonać przeciwną partję o wyższości swojego kandydata. Każda zaleta kandydata jest wykazana, każda ujemna strona przeciwnika — wytknięta.

Wygląd zewnętrzny, aromat kwiatu, obfitość cienia, szybkość, z jaką drzewo wzrasta, wreszcie korzyści z niego praktyczne — wszystko to stanowi materjał krytyki. „Jak dojrzali mężczyźni poddają rozbiorowi przymioty swego kandydata — czytamy dalej w orędziu, z którego przytoczyliśmy już początkowy ustęp — tak dziatwa niech rozpatrzy zasługi protegowanego drzewa. Wszystkie drzewa, które rosną w danej okolicy, niech będą troskliwie zbadane, piękności liścia, kwiecia i owocu, powinny być wymienione. Jakie są korzyści z samego drzewa? Czy nadaje się ono na opał lub budulec, na meble lub proste deski, wiązadła toru kolejowego lub słupy telegraficzne, wszystko niech ulegnie dyskusji. Niech również dziatwa rozpatrzy, o ile te drzewa różnią się barwą i wytrzymałością swojej tkanki, formą liści i kory, ukształtowaniem korzenia i gałęzi, kwiatu i owocu“.

Nauczyciel następnie podsuwa drzewnemu kongresowi odpowiednie książki i rysunki. Partje czytają ten materjał i ostrzą swoje argumenta. Wreszcie rozprawy dobiegły końca. Każda strona wyczerpała w swoim arsenale wszystkie pociski i tylko głosowanie może rozstrzygnąć o ostatecznym rezultacie. Urny powiedzą, jaka partja odniosła zwycięstwo. Wybory zostają dokonane według tych wzorów, jakie oglądamy w życiu publicznem kraju. A kiedy rzecz jest rozstrzygniętą, poczynają się przygotowania do samej uroczystości. Malcy będą publicznie wysławiali wybrane drzewo, będą tam deklamacje i śpiewy na cześć powabów przyrody, zaczerpnięte z utworów najwybitniejszych pisarzy.

Z licznych programów uroczystości, jakie posiadamy, przytoczymy szczegóły święta drzewnego w szkołach Conecticut'u.

Program jest następujący:

1) Ktoś z dziatwy w krótkiej przemowie streszcza historję powstania »Arbor-day'u«, oraz rezultaty, jakie wydała już ta uroczystość. 2) Ktoś inny oznajmia, co szkoła uczyni w dniu dzisiejszym. 3) Inny uczeń lub uczenica podaje listy drzew najbardziej nadających się do ozdoby domów, placów. 4) Ktoś inny opowiada zalety drzew orzechowych i sposoby ich hodowli. 5) Ktoś mówi o trawnikach, o tem, jakie gatunki trawy są najodpowiedniejsze, wreszcie także o sposobach pielęgnowania. Później, kiedy mowy zostały ukończone, następują śpiewy, zabawy. Muzyka jest nieodłączną towarzyszką uroczystości. Nakoniec zasadza się drzewa, każdy zaś dzieciak musi rzucić szpadlem grudę ziemi — praca musi być zbiorowa.

A zatem zabawę połączono z nauką i z umiejętnością życia publicznego. O pożytku da wyobrażenie już ten fakt, że w r. 1892 szkółki Stanu Wisconsin posadziły z górą 18 tysięcy drzewek w bliskości gmachu szkolnego. Ale rzecz nie kończy się na tym akcie. Władze szkolne, korzystając z zainteresowania, jakie uroczystość drzewna wywołuje wśród dziatwy, poszła jeszcze dalej, mianowicie powiązała ją w kółka ogrodnicze. Rozumie się, organizacja szkolnych towarzystw ogrodniczych nie została dokonana drogą przymusu, względnie rozkazu, ale powstaje według wzorów amerykańskich — przez odwoływanie się do inicjatywy prywatnej. Towarzystwo ogrodnicze danego Stanu zwraca się z odezwą do dziatwy, czy nie zechce utworzyć ogniwa ogólno-stanowej organizacji. Każdy kto zechce być członkiem i złoży, dajmy na to, 5 centów, otrzyma dwa krzaki malin, które winien posadzić przy domu swoich rodziców i pielęgnować, nadto samo towarzystwo szkolne obowiązane będzie rok rocznie składać sprawozdanie o swoich posiedzeniach, każdy zaś członek o tem, jak pielęgnował krzak maliny i jak mu się to powiodło. Kilka warunków jednak stawia związek ogrodniczy: naprzód, że prezesem szkolnego towarzystwa będzie ktoś, mający więcej niż lat 18, i że odczyty w towarzystwie będą miały za przedmiot uprawę ofiarowanego drzewa. W drugim roku zamiast malin dziatwa dostanie porzeczki lub coś innego.

Tak wygląda »Arbor-day« i takie daje rezultaty.

JOHN TYNDALL.

Dotkliwą stratę poniósł naukowy świat europejski przez śmierć Johna Tyndalla.

Znakomity ten przyrodnik angielski, urodził się w Irlandji w r. 1820. Po dopełnieniu początkowej edukacji w Niemczech, wrócił do ojczyzny, gdzie wkrótce zyskał sobie szeroki rozgłos zarówno ważnemi odkryciami w dziedzinie fizyki, jak i niezmiernie jasnem wykładem jej w królewskim Instytucie londyńskim. Tyndall do ostatnich chwil życia ze wszystkich uczonych angielskich cieszył się największą popularnością i wszyscy słuchacze jego z zapałem wyrażają się o jego lekcjach. Posiadał on wrodzony talent jasnego i dostępnego dla wszystkich wykładu najzawilszych kwestji naukowych.

Po odbyciu kilkakrotnych podróży do Szwajcarji i przepędzeniu kilku zim wśród śniegów i lodowców pomiędzy r. 1856 i 1859. odkrył ważne prawo promieniowania cieplika, a mianowicie, iż nie powietrze ale nasycająca je para wodna przeszkadza wypromieniowaniu ciepła w przestrzeń i tym sposobem zapewnia ziemi warunki mieszkalne. Prace w tym przedmiocie pomieszczał w »Philosophical Transactions«, »Philosophical Magazine«, gdzie znajdują się również rozprawy o elektryczności, lodowcach i t. d.

Liczba dzieł jego jest bardzo wielką, a we wszystkich pociąga on czytelnika nie tylko głęboką nauką i oryginalnością poglądów, lecz nadto urokiem stylu naturalnego i malowniczego, oraz jasnością analizy. Z ważniejszych dzieł jego należy wymienić: »Lodowce alpejskie« 1860, »Lekcje o głosie« 1867, »O świetle« 1870, »Cieplik jako rodzaj ruchu« 1863, »O promieniowaniu« 1865, »Lekcje o elektryczności« 1876, »Pył i choroby« i w. in.

W r. 1887 Tyndall z powodu podeszłego wieku usunął się ze stanowiska profesora fizyki w instytucie królewskim w Londynie, lecz nie zarzucił prac naukowych. W r. 1872 wezwany do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, podczas kilkomiesięcznego pobytu miał szereg konferencji, których powodzenie było świetne. We wszystkich swych pracach Tyndall staje na punkcie fizyki nowej t. j. zasady utrzymania energji.

Emancypacja kobiet bucharskich.

W jednym z ostatnich zeszytów rosyjskiego kwartalnika folklorystycznego »Żywaja Staryna« znany podróżnik dr. Awdiejew, zamieścił bardzo ciekawą piosnkę bucharską, świadczącą, że prądy emancypacyjne przedostały się już nawet do Azji. Piosnka ta jest ułożona i śpiewana przez kobiety sartskie w Bucharze i przedstawia protest przeciwko dotychczasowym poglądom świata muzułmańskiego, jakoby kobieta była stworzoną jedynie do życia haremowego. Treść tej piosnki jest następująca. W pewnym kurniku mieszkał kogut z dwudziestoma towarzyszkami kurami, które z pokorą ulegały swemu losowi i bez szemrania pełniły wszystkie obowiązki, wkładane na nie przez ich małżonka. Nudziły się one straszliwie, chodziły wciąż ze spuszczonemi głowami i zawsze starały się wyjrzeć po za ściany kurnika i zobaczyć, co się dzieje na Bożym świecie. Raz patrzą — z krzykiem leci po ulicy czerwona kura.

— Stój, opowiedz nam, skąd jesteś i dokąd lecisz, czerwona kuro! — wołają zamknięte w kurniku.

— Lecę skąd chcę i dokąd chcę. Jestem wolnym ptakiem, nie tak jak wy nieszczęśliwe — odpowiada czerwona kura, zatrzymując się na chwilę.

— I mybyśmy chciały pobiegać po ulicy jak ty, ale boimy się naszego koguta.

— Głupie z was kokoszki, dla tego też boicie się — powiada im wolna kura. — Siedzicie, głupie, w zamknięciu i nic nie wiecie, co jest na świecie nowego.

— Więc opowiedz nam, jeśli wiesz, a my posłuchamy!

Poczęła więc opowiadać im czerwona kura, że zjawił się krogulec, który odarł koguta z pierza, i teraz już nikt niema władzy nad kurami: która chce siedzieć w kurniku, to siedzi, która nie chce, to biega po ulicy.

Podczas gdy się toczą takie rozmowy, kogut śpi sobie, niczego się nie domyślając... Zbudził się nareszcie.. zapiał głośno, zawołał na kury, aby biegły ku niemu. Ale kur już nie było, śladów nawet po nich nie zostało — wszystkie pobiegły za czerwoną kurą.

L. W.

Z ruchu literackiego.

Atlanta czyli przygody młodego chłopca na wyspie tajemniczej opowiedziane w listach, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofja Urbanowska. — Z licznymi drzeworytami w tekście i siedmioma ilustracjami Juljana Maszyńskiego. — Składy główne: w Kijowie u Lechelina i Krakowie u Gebethnera i Spółki.

Wyborna książka, prześliczna książka! Poświęcona pamięci zmarłej w 1886 r. Marji Julji Zaleskiej stanowi dalszy ciąg niejako jej powie-

ści p. t. „Niezgodni królewicze“. Zapytajcie o tę ostatnią książkę dzieci warszawskich lub wogóle dzieci z pod zaboru rosyjskiego, a przekonacie się, że ustępami umieją ją na pamięć, a autorkę jej kochają jako najlepszą przyjaciółkę. Nie mniejszej radości i tryumfu doczekała się p. Urbanowska; dość powiedzieć, że redakcja „Wieczorów Rodzinnych“, gdzie „Atlanta“ w odcinku wychodziła, zasypywana była poprostu listami dziatwy, gdy w którym numerze nie pomieszczono dalszego ciągu, a już formalny szturm przypuściła, gdy odczytała warunki konkursu, którego nagrodę stanowił bezpłatny wyjazd na Atlantę i dłuższy pobyt na dworze jednego z trzech królewiczów. Niestety, ponętne to odznaczenie dostało się Jankowi sierocie, stworzonemu przez autorkę, a reszta Jasiów, Stasiów i Zosi musiało poprzestać jedynie na korespondencjach jego, pomieszczonych w „Wieczorach rodzinnych“. I tak jednak otrzymali wiele, bardzo wiele!

Naprzód zatem opowiedzmy w trzech słowach samą fabułę „Niezgodnych królewiczów“, przyczem nie podobna niepotrącić o jej prolog, o „prawdę przeplataną bajką“ Zaleskiej.

Na wyspie Atlancie panował król Bożydar. Miał trzech synów: Kryształka, Zielonkę i Pióropuszka. Ojciec podzielił królestwo na trzy równe części, atoli synowie inny podział obrali, zobowiązawszy się nawzajem nie wykraczać po za granice swych państw: Kryształek wziął świat minerałów, Zielonka roślin, a Pióropuszek zwierząt. Jednak — rzecz prosta — wskutek chwiejności granicznej miedzy, musiały powstać między nimi zatargi, które sprawiają, że sąsiedni książę Dobromir nie chce dać królewiczowi trzech swych córek w zamęście. Wtedy to Abrakadabrus mistrz nad mistrze, bardzo stary, bardzo dobry i bardzo mądry, wdaje się w całą sprawę, tłómaczy pretendentom o rękę swych trzech wychowanek, że przy takim podziale nie może nastąpić upragniony pokój, godzi ich dowcipnym sposobem i doprowadza szczęśliwie do trzech ślubów.

W „Atlancie“ p. Urbanowskiej spotykamy wszystkie te osoby, a prócz nich Janka-sierotę. Właśnie na wstępie powieści widzimy zebrane trzy pary książęce, witające z zapałem powracającego z dalekich wędrówek Abrakadabrusa. Przynosi on im cenny gościniec. Kryształek myśli, że to sztuczne djamenty, Zielonka, że nieznana mu, a upragniona roślina hypnotyzująca, zaś Pióropuszek spodziewa się zobaczyć latającą żabę, którą za wszelką cenę chciałby nabyć. Żaden z nich jednak nie zgadł — Abrakadabrus przynosi im książkę pod tytułem: »Niezgodni królewicze«. — Jakto! więc świat wie o naszej niezgodzie! — wołają z oburzeniem. Abrakadabrus jednak umie ich gniew ułagodzić, a rozbroiwszy wiadomością, że po śmierci »kochanej« (Zaleskiej) nie ma komu w dalekiej krainie opowiadać dzieciom pięknych rzeczy o minerałach, roślinach i zwierzętach, proponuje, czyby oni nie przystali być korespondentami »Wieczorów rodzinnych«. Propozycji tej królewicze nie przyjmują — zastrzegłszy sobie jednak tajemnicę drogi do Atlanty, postanawiają ugościć u siebie korespondenta z dalekiego kraju. Redakcja »Wieczorów« rozpisuje konkurs, Janek-sierota wychodzi z niego zwycięzcą, przybywa na Atlantę i odtąd kursują często między Warszawą a tajemniczą wyspą gołębie z zawieszonymi na szyi listami.

Tutaj zaczyna się dopiero właściwa powieść. Ramami jej niezbyt wprawdzie nowymi, ale do celu zupełnie wystarczającymi są opisy przeróżnych uroczystości na książęcych dworach. Następują one po sobie kolejno u wszystkich trzech królewiczów — sposobności więc jest dosyć, ażeby o każdem z królestw przyrody dużo rzeczy nowych i ciekawych powiedzieć. Dając Jankowi-sierocie główną kwaterę na dworze Zielonki, wysunęła p. Urbanowska na pierwszy plan, świat roślin, który z przedziwną umiejętnością potrafiła cały przedstawić. Począwszy od władcy, który marzy jedynie o roślinach i nowych ich odmianach, skończywszy na paziach, do której to godności i Janka-sierotę po jakimś czasie posunięto, ciągle i na każdem miejscu w nazwach i tytułach dostojników i dworzan, w rozmaitych sztuczkach ogrodniczych (zegary roślinne, kalendarz Flory i t. p.) mamy do czynienia z kwiatami i roślinami. Żadna ich strona nie jest pominięta. W pierwszej linji prawie zupełnie od niechcenia odpowiada ktokolwiek na ciekawe pytania Janka-sieroty, że roślina ta nazywa się po łacinie tak a tak, należy do takiej rodziny, kwiat jej ma taki kształt, o tylu pręcikach, z takim owocem, w takich to a takich miejscowościach i krajach rośnie i wreszcie ten oto niesie ludziom pożytek.

Wiadomości te nie są jednak rzucone bezładnie — przeciwnie. W kilka dni po przybyciu Janka na Atlantę zwiedza on zamek Zielonki. Właściwie olbrzymią oranżerją, gdzie każda z głównych klas roślin ma oddzielne apartamenta. Z napisów nad drzwiami zapoznaje się z grubsza i a priori z ich klasyfikacją (podział naturalny według najnowszych dzieł botanicznych), potem poznaje wszystkie klasy, gromady, działy i poddziały na poszczególnych typowych jej okazach; żeby zaś ten porządek całości trwale w pamięci zachował, przypatruje się pod koniec powieści uroczystemu pochodowi, którym królewicze pragną uczcić ojca swego Bożydara. Przesuwa się więc w grupach świat minerałów, zwierząt a przedewszystkiem roślin, a każdą z nich poprzedza herold z napisem: »Skrytokwiatowe, Jawnokwiatowe, Wielu — Jedno — Dwu-liścieniowe« itd., poddani zaś Zielonki niosą odpowiednie rośliny i ilustrują ten trochę suchy, lecz pożyteczny przegląd. Myliłby się jednak, ktoby tę martwą czytając recenzję, pomyślał w duszy: ależ ta Atlanta setnie nudną być musi! Bynajmniej! dużo wprawdzie jest w niej ścisłej nauki — bez przełado-

wania jednak — ale ta nauka podana tak zda się mimochodem a dobitnie, tak ponętnie i w tak zajmującej formie, że i starszych czytelników znudzić nie potrafi, a cóż dopiero dzieci. Atlanta to prawdziwy świat zaklęty; rzewna i piękna bajka zlewa się z ścisłą nauką w nierozdzielną całość i to jest najdodatniejszą stroną książki,

Autorka miała na celu zarówno rozwój głowy jak i serca. Kwiat najpyszniejszy i liche zioło, mech nikły i dąb rozsochaty, jednako umiłowane, zespalają się pod jej piórem w harmonijną całość, w jedną rzeszę, która żyje, czuje, mówi nieledwie. Ta równomierność — wyraźmy się technicznie: przedmiotowość — czyni z jednej strony zadość wymogom nauki, z drugiej uczy młode umysły widzieć piękno wszędzie, w każdym najmarniejszym nawet na oko tworze matki-przyrody.

Oprócz systematycznego wykładu botaniki, pomieściła — jak już wspomnieliśmy — p. Urbanowska mnóstwo wiadomości z mineralogji i zoologji, a korzystając zręcznie z ścisłego związku wszystkich nauk przyrodniczych wplotła w opowiadanie wiele bardzo szczegółów z geologji, kosmografji, chemji, fizyki a nawet z astronomji i meteorologji — i bez przesady utrzymujemy, że pilne przeczytanie Atlanty może naszym dzieciom tyle dać wiedzy, ile jej przez kilka lat suchego ślęczenia w szkole ludowej, a nawet średniej zdobyć nie są w stanie. Bowiem nikt chyba nie będzie się z nami spierał, że co najmniej pół wartości wykładu (dla dzieci) polega na przystępnej i ponętnej formie — a tym warunkom odpowiada Atlanta wybornie. Pomijamy już rozproszone w powieści tu i owdzie prześliczne, oryginalne wiersze lub modlitwy, tak rzewne, że czytając je czuje się łzy pod powieką — ale Atlanta ma jeszcze doskonałą osnowę powieściową.

Janek-sierota, chory na piersi, delikatny jak otaczające go kwiaty — to uosobienie prostoty dziecięcej i szlachetności, zdobytej wielkiem, cichem cierpieniem. Dość powiedzieć: jest sierotą! Wcześnie odumarła go matka, lecz w sercu jego żyje ona ciągle, a uczucie to jest tak silne, że pozornie wyparło miłość dla ojca, którego Janek zupełnie nie pamięta, bo na wiele lat jeszcze przed zgonem matki umarł, czy też przepadł w szerokim świecie. Aż nagle tu na Atlancie czeka go wielka i niespodziewana radość odnalezienia ojca w biednym samotniku, którego kiedyś morze na wyspę wyrzuciło, a królewicz Zielonka łaskawie przygarnął. Kończy się więc wszystko względnie pomyślnie. Janek wraca z ojcem do kraju, lecz w drodze tonie na morzu, a kraj ów zaczarowany, Atlanta, z całym swoim światem bajecznym i cudami zapada się w ocean w skutek wybuchu wulkanu, przyczem, nie trudno domyślić się, że autorka obrała takie zakończenie rozmyślnie, aby młode umysły i serca pogodzić z naturą nawet w jej groźnych i niszczących przejawach.

Z obowiązku recenzenta należy nam jeszcze wspomnieć i o pewnych usterkach Atlanty. Usterki te jednak można porównać z plamami na słońcu, które według większości astronomów wpływają zbawiennie na średnią temperaturę roku i są dla ziemi korzystne. Oto, może trochę za mało uwzględniła p. Urbanowska rośliny skrytokwiatowe, które w gospodarstwie przyrody tak doniosłą odgrywają rolę, zwłaszcza w odległych dobach geologicznych. Łatwo jednak zrozumieć, że ten dział roślin nie rzuca się w oczy tak, jak jawnokwiatowe, że przy badaniu ich mikroskop jest decydującym i że wykład przez to stałby się zbyt trudnym. Już większym trochę błędem według nas jest próżniacze życie królewiczów — a choć małe jest prawdopodobieństwo, aby niekrytyczny umysł dziecka mógł to dostrzedz — pozbawiła się p. Urbanowska zręcznej sposobności do wyłożenia najnowszych badań i zdobyczy naukowych. Dlaczego np. Kryształek nie pracuje nad osiągnięciem sztucznych djamentów, a Pióropuszek drogą doboru nie usiłuje wyhodować żaby latającej? Nie możnaby wtedy zrobić królewiczom zarzutu próżniactwa, a dzieci dowiedziałyby się nieco więcej z biologji.

Wytknięte przez nas chybki nie wpływają jednak mimo wszystko na wartość książki. Pierwszy sąd najlepszy — powtarzamy więc, że jestto książka i wyborna i prześliczna. Jeżli się więc jeszcze uwzględni staranność wydania (ani jednej omyłki drukarskiej!) dokładne drzeworyty roślin, ładny papier i ilustracje, język gładki i barwny, naukową wartość książki i do łez wzruszające nieraz opowiadanie, to musimy przyznać, że jestto znakomite popularno-naukowe dzieło (430 stron) dla dzieci od 8—12 lat i zbrodnią byłoby, gdybyśmy mając swojską oryginalną rzecz uciekali się jeszcze do w złoto oprawnych lecz pustych wewnątrz podróży i bajeczek francuskich lub niemieckich, które działają na fantazję opisami niemożliwych przygód, a karmią dla ducha nie są. Nam nie wolno czasu marnie trawić — uczmy się i poznawajmy jak najwięcej — więc też przy zbliżających się Świętach i Gwiazdce najgoręcej polecamy rodzicom tę książkę wyborną i prześliczną!

Cyprjan.

Wiadomości bibljograficzne.

Perez Bernard: „Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego“, przełożył R. D., Warszawa, nakł. T. Paprockiego i Sp., 1894, w 8-ce, str. 288 i II., 1 złr. 95 cnt.

Wilczyński Bolesław: „Historja muzyki w krótkim zarysie“. — Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, w 8-ce małej, str. 2 nl. i 274 — 1 rubel.